



# *Salvator*

**Tomasz Kozłowski**

**Tomasz Kozłowski**  
„Salvator”

Copyright © by **Tomasz Kozłowski**, 2020  
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2020

**Wszelkie prawa zastrzeżone.**

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**  
Korekta: **Bogusław Jusiak, Robert Olejnik**  
Projekt okładki: **Robert Rumak**  
Ilustracje na okładce: **potas, Mr Twister, wacomka – stock.adobe.com**  
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119-578-2

**Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**  
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin  
tel. 63 242 02 02  
<http://psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

**Wersja Demonstracyjna**

# Prolog

W marcu 2012 roku moja redakcja „De Arte” otrzymała zaproszenie na wystawę malarstwa z okazji stulecia narodzin kubizmu we Francji. Mają być zaprezentowane obrazy Jeana Regnitem’a i jego kolegów z Section d’Or<sup>1</sup>. Hmm... czyżby organizatorzy zapomnieli, że kubizm narodził się parę lat wcześniej, i to nie za sprawą Regnitem’a i jego kompanów po pędzlu, lecz dwóch innych malarzy, z których jeden jest tak wielki, że organizatorzy przemilczeli ten fakt?<sup>2</sup> Może, jeszcze wtedy prawnicowe, władze Francji nie zapomniały mu jego socjalistycznych poglądów? Wróćmy jednak do wystawy: Jean Regnitem – świetne obrazy, kubizm analityczny w czystej postaci, do tego obrazy pozostałych z grupy, między innymi Fernanda Légera, Francisca Picabii i Marcela Duchampa.

Mam we Francji wuja Floriana, uznałem więc zaproszenie za dobry znak, aby pojechać i staruszka odwiedzić.

– A co ty na to? Może pojechałabyś ze mną? Trzy dni w Paryżu, trzy dni na francuskiej wsi, urlopik jak marzenie – proponowałem Joannie.

Joanna to moja dziewczyna, od jakiegoś czasu jesteśmy razem. Poznałem ją kilka lat wcześniej jako wysoko kwalifikowaną konserwatorkę zabytków sprzedającą bilety w muzeum – była

---

<sup>1</sup> Ugrupowanie artystyczne założone w październiku 1912 roku przez kubistów.

<sup>2</sup> Za prekursorów kubizmu uważa się Pabla Picassa i Georges’a Braque’a.

na zawodowym zakręcie. Zauroczyła mnie w tym służbowym kostiumie bileterki. Teraz na własny rachunek odnawia różne dzieła sztuki.

– Chętnie, ale właśnie dostałam pierwsze poważne zlecenie. Mam odnowić polichromię w starej cerkwi w Powroźniku, gdzieś w okolicach Krynicy-Zdroju. Muszę się przygotować, trochę poczytać, postudiować, bo nie robiłam w rustykaliach, a tam ponoć ledwie widać malunki. Ale ty jedź! Przywieziesz mi coś oryginalnego z Paryża...

– Katalog z wystawy? – zażartowałam.

– I majtki od Lise Charmel – zripostowała. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jedna para kosztuje prawie sto euro.

– Tylko za Francuzkami się nie oglądaj.

– No wiesz, przecież one pachną ślimakami i truflami.

– Raczej francuskimi perfumami. – Po namyśle dodała: – Był taki malarz, kubista zresztą, Tentateur...

– Kusiciel. – Przypomniał mi się mój francuski.

– Właśnie, kusiciel...

– I co z tego? Przecież on już dawno nie żyje...

– Ale pokusa żyje...

Pozostało tylko przekonać naczelnego. Argumentami były mój niezły francuski i zaległy urlop, który gotów byłem wykorzystać na ten wyjazd. Problemem okazały się finanse, ale po wielkich bojach dostałem dietę na cztery dni podróży służbowej i pokrycie kosztów transportu kolejowego. Rewelacja! Warszawa–Paryż jak przed wojną, gdyby tylko jeszcze taki pociąg istniał. Ale znak to znak, zaparłem się. Będąc jeszcze w Warszawie, próbowałem skontaktować się z wujem, dzwoniłem, wysyłałem SMS-y – bezskutecznie. W końcu wysłałem telegram – w dwudziestym pierwszym wieku telegram! Niestety bez odpowiedzi. Dziesiątego maja wyruszyłem...

Wystawa – po prostu cudo: dużo fantastycznych obrazów, pięknie zaprezentowanych, aranżacja w stylu Salonu Jesien-

nego w Galerie la Boétie sprzed stu lat. Organizatorzy zadbali o wszystko, zarezerwowali hotel w dobrej cenie, obiady gratis i mnóstwo ciekawych materiałów o kubistach z Section d'Or. Dostałem pięć pięknych katalogów z wystawy (w cenie rynkowej pięćdziesiąt euro za sztukę!).

Po trzech dniach w Paryżu pojechałem do Avallon. Tam właśnie, a dokładnie tuż pod miasteczkiem, miał dom mój wuj – Florian Beterawski. Wyemigrował z Polski na początku lat siedemdziesiątych i jeszcze dobrze się nie zadomowił, kiedy ożenił się z miłą Francuzką Jacqueline. Dużą część życia spędzili w Paryżu, korzystając z pieniędzy jej ojca, Timothéego Potache'a. Po jego śmierci powrócili do rodzinnej posiadłości w Les Grandes Châtelaines pod Avallon. Wkrótce jednak Jacqueline zmarła. Florian nawet myślał o powrocie do Polski, lecz ciągle coś mu przeszkadzało: to godził skłócone dzieci, a miał ich trójkę, to podupadł na zdrowiu, aż w końcu oświadczył, że do komunistów nie wróci – wtedy w Polsce rządziło SLD, to były lata 1995–1996.

Dotarcie do posiadłości nie było dla mnie łatwe, poprzednio byłem tam jako kilkunastolatek, rok po transformacji, ponad dwadzieścia lat temu. Z Avallon musiałem wziąć taksówkę. Jechałem z dużymi obawami i niepewnością – w końcu nie miałem żadnej odpowiedzi, może wuja już nie ma, może przeniósł się do Paryża, do dzieci, może mnie nie pamięta, nie pozna... Dużo było tych wątpliwości. W Les Grandes Châtelaines mieściło się kilka gospodarstw, taksówkarz dowiózł mnie na miejsce, wysiadłem, a on odjechał. Dom Floriana Beterawskiego był najstarszy, najbardziej okazały i najbardziej zaniedbany w tej okolicy, na wpół zniszczony mur oddzielający ogród od drogi, fasada budynku, która nie widziała murarzy ani malarzy od co najmniej półwieku, wszystko porośnięte dzikim winem i bluszczem. Ogród już dawno zamienił się w kłębowisko starych drzew i zdziczałej krzewiny. Wuj nigdy nie przywiązywał

do tego wagi. Dom był stary, podupadły, mimo to z klimatem dawnych domostw Burgundii. Ruszyłem z walizką w rękę przez skrzypiącą zardzewiałą bramę, ledwo widoczną ścieżką wśród wyrosniętej trawy dotarłem do drzwi. Nawet nie było jak zapukać, kołatki brak, dzwonka też brak, waliłem więc pięścią w stare dębowe wrota. Bezskutecznie. Naciskałem klamkę – nic z tego, jeszcze raz „zapukałem” pięścią. W końcu zostawiłem pod drzwiami walizkę i chciałem podejść do uchylonego okna, które wcześniej zauważyłem na froncie budynku, kiedy drzwi się uchyliły. Zawróciłem. Ledwo poznałem wuja. Zmalał, skurczył się, pomarszczył, jego twarz nabrała niezdrowego, ziemistego koloru. Zrazu i on mnie nie poznał, niby jak – minęło dwadzieścia parę lat.

Siedzieliśmy do późnej nocy, wuj sączył herbatę „z prądem”, mnie raczył burgundem, jak przystało na region, w którym się znajdowaliśmy. Z kuchni gospościa kontrolowała sytuację. Wuj nie miał komputera, adres e-mailowy, jakim dysponowałem, okazał się nieaktualny, telefon obsługiwała gospodyni, niestety nie znająca polskiego, więc odrzucała obce połączenia, a SMS-y – pisałem po polsku. Dopiero telegram dotarł, odpowiedź na niego minęła się jednak ze mną w drodze.

Wuj od wspomnień roztkliwił się, popłakał kilka razy, a i mnie chwilami ze wzruszenia chwytalo za gardło, zwłaszcza kiedy mówił czystą polszczyzną, bez śladu obcego akcentu, francuskiego „r”. Czasem brakowało mu słów, wtedy się złościł, stukał laską i pił swoją herbatę. Gdy teraz wspominam tamten wieczór, łzy same napływają mi do oczu, nie potrafię ukryć rozczulenia, powstrzymać wzruszenia. Spotkanie ze mną, w pewnym sensie też z Polską bardzo go ożywiło, jakby odmłodziło, nabrał sił, znowu mówił o powrocie do Polski. Wtedy nie wiedziałem, że jest nieuleczalnie chory. Po śmierci Jacqueline poczuł się bardzo samotny. Francja, Paryż – wszystko to było piękne i miało sens, dopóki ona żyła, później... Dzieci dorosły, wyjechały

do dużych miast, zapracowane, zagonione, a w dodatku kłóciły się o spadek po dziadku marszandzie. Timothée Potache ponoć był malarzem, lecz dorobił się na handlu dziełami sztuki – zmysł do interesów był silniejszy od duszy artysty. Swoją drogą nigdy nie sprawdziłem w encyklopedii, czyli w Internecie, kim był teść mojego wuja i co osiągnął na niwie artystycznej.

Wuj Florian nie zdawał sobie sprawy, że w Polsce jego przyjaciół i krewnych pozostało bardzo niewielu, że ci, którzy żyją, albo są w domach starców, albo nie pamiętają, gdzie są, zamknięci w swojej niepamięci, niedołączności. A młodzi – tak jak jego dzieci – gonią za pieniędzmi.

À propos burgunda – polecam! Pyszny, cudownie melancholijny i prowokujący do długich rozmów, a to, że głowę mi chciało urwać na drugi dzień, to kwestia zatęchłego powietrza starego domu i pleśni na serach, które były przekąską. Co ciekawe tam nie znają ani oscypka, ani bryndzy czy twarogu à la Biedronka, chociaż mają siedemset pięćdziesiąt gatunków sera.

Wuj ofiarował mi na pożegnanie komplet szachów po swoim teściu, wiedział, że lubię tę grę. Ja nie miałem nic dla niego, więc dałem mu swoją piersiówkę z wygrawerowaną warszawską Syrenką, wypełnioną przedniej jakości bimbrem spod Suchedniowa. Znowu płakał, a ja z nim. Nie przypuszczałem, że już więcej go nie zobaczę.

\* \* \*

Cztery lata później z kancelarii prawnej Persil et fils na adres mojej redakcji przyszedł skierowany do mnie e-mail. W języku francuskim poinformowano mnie, że zmarł Florian Beterawski i jestem proszony na otwarcie testamentu 7 września 2016 roku w Avallon. To wszystko. Wuj Florian nie żyje. Nawet nie podali daty śmierci. Ta wizyta w 2012 roku, niby dawno, a jednak...

Nadal na regale stoją szachy od niego i kartki, które dostawałem od tamtej pory na święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Pewnie pisała je Geraldine, gosposia wuja, bo choć pisała po polsku, to dziwnie wyglądały „ą” i „ę”. Zrobiło mi się smutno, tamto spotkanie głęboko utkwіło mi w pamięci. Zadzwońiłem na jego numer. Może telefon ma gosposia lub ktoś z rodziny? „Nie ma takiego numeru” – usłyszałem. Napisałem e-maila do kancelarii i zacząłem szukać kontaktu z jego dziećmi. Na e-mail nie było odzewu, kontaktu nie znalazłem. Co prawda we francuskiej Wikipedii było sporo wzmianek i wpisów o Ines Beterave, chodziło jednak o jakąś gwiazdkę piosenki, uznałem więc to za zbieżność nazwisk. Nieuchronnie zbliżał się termin otwarcia testamentu.

– Jedź, chłopie, wrócisz bogaty, z kolegami się podzielisz – żartobliwie i bez oporów naczelny zgodził się na urlop.

– Leć, Jacuch – tak Joanna na mnie mówiła – odwiedzisz grób wuja, poznasz rodzinę – zachęcała.

I tak oto siedziałem w samolocie do Paryża. Potem pojechałem busem do Avallon i tradycyjnie taksówką do Les Grandes Châtelaines. Umówiłem się z taksówkarzem, że gdybym miał problem z noclegiem, to zawiezie mnie z powrotem do Avallon, do jakiegoś hotelu.

Ten sam zrujnowany mur, ta sama zardzewiała brama, tyle że otwarta na oścież, chyba na stałe, gdyż jej skrzydła podparte były kamieniami. Na podjeździe domu tłoczno było od samochodów, doliczyłem się czterech różnej marki i klasy.

– *Bonne journée. Vous à qui?* – Od strony jeszcze bardziej zapuszczonego ogrodu przywitała mnie młoda osóbką.

– Nazywam się Jacek Fontenierski. Jestem siostrzeńcem Floriana Beterawskiego. Otrzymałem wezwanie na otwarcie testamentu. Przyjechałem z Polski – wyrecytowałem i oczekiwałem, że panienka mi się przedstawi. Bąknęła coś niezrozumiałego i uciekła do domu. Stałem przed zamkniętymi drzwiami. Po dłuższej chwili pojawiła się w nich kobieta. Miała ładną



twarz o pełnych ustach, była chyba nieco starsza ode mnie. Świetnie skrojona sukienka z mocnym dekoltem podkreślała i tak widoczne walory.

– Witam pana, Florence Céleri, jestem córką Floriana Beterave, Yvette powiedziała, że jest pan z Polski. Fatygował się pan?

Florence pomimo pozornej grzeczności nie potrafiła ukryć niechęci. Zacząłem sobie przypominać: kiedy byłem u wuja pierwszy raz jako nastolatek, to właśnie ona uczyła mnie francuskiego i bardzo bawił ją mój słowiański akcent. Pamiętam, że patrzyła na mnie jak na ufoludka, byłem przecież z innego świata. Wtedy wydawała się serdeczna i przyjazna.

– Próbowałem skontaktować się z kimś z rodziny wuja, bezskutecznie, notariusz też nie chciał mi nic wyjaśnić. – Już myślałem, że nie zaprosi mnie do środka, bo dobrą chwilę zastanawiała się, co ma zrobić.

– Proszę, niech pan wejdzie, choć otwarcie testamentu dopiero jutro.

Denerwuje mnie ta baba, już miałem zawrócić, kiedy z wnętrza domu podszedł do mnie całkiem siwy jegomość.

– Jacek, pamiętam cię. Tyle lat, chyba z ćwierć wieku? Razem popijaliśmy wino z piwnicy ojca, ty mniej, bo gówniarz byłeś – serdecznie powitał mnie całkiem czystą polszczyzną. No właśnie, nie poznaję gościa! Jak już ktoś wydaje się miły, to nie wiem, kto to, jak jędza, to sobie od razu przypominam.

– Pierre? – bąknąłem pierwsze francuskie imię, jakie przyszło mi do głowy.

– Pewnie, że Pierre. Pamiętasz! To miłe. Chodź, przedstawię cię pozostałym. Florence już poznałaś, wtedy była piękną, uroczą dziewczyną. – Czuć było złośliwość w słowach Pierre'a. – A oto Ines – ganiała za nami z pamperssem, a teraz jest diwą paryskiej opery. Prawdziwa gwiazda. – Czyżbym znowu słyszał złośliwostkę?

– Witaj, hmm...

– Jacek.

– Witaj, Jacku, Pierre pisuje w piśmie satyrycznym, takim dzielnicowym brukowcu, i nie potrafi powstrzymać swojego ostrego języka. Z Polski przyjechałeś? – przywitała mnie po francusku najmłodsza z trójki dzieci wuja. Ines była dużo młodsza od pozostałej dwójki, ot, taka wpadka w dojrzałym wieku. Na oko miała ze trzydzieści lat, była szatynką o zielonoszarych oczach, pięknej sylwetce w kształcie klepsydry, którą podkreśliła dobrze dobranym strojem. Trudno było oderwać od niej wzrok. Buzia przeciętna, ale dobrze zrobiony makijaż czynił ją ciekawą i pociągającą. Do tego gustowna biżuteria.

– Naprawdę śpiewasz w operze? – zapytałem, próbując się wyzwolić spod jej uroku.

– Tak, ale nie tylko, czasem robię coś popularnego dla telewizji czy radia.

– Jacek, masz gdzie spać? – wtrącił się do rozmowy Pierre. Ależ on się zmienił. Ta siwizna, zmarszczki. Pamiętam, że był wysoki i szczupły, a teraz jest wręcz chudy i trochę zapadnięty w sobie, wyraźnie się garbi. Czas go nie oszczędził, a może życie, choroby, kobiety?

– Zarezerwowałem hotel w Avallon – skłamałem.

– To dobrze, bo my tu z całym dorobkiem jesteśmy, czyli moja Yvette, co ją wystraszyłeś w ogrodzie, i gdzieś jeszcze są Konstancja i Marcel, dzieci Florence. Jednym słowem – łóżek brak. Ale na kolacji zostań koniecznie, poopowiadasz o tym egzotycznym kraju naszego ojca. Ponoć parę lat temu byłeś tutaj u niego?

– Tak, odwiedziłem wuja przy okazji wystawy Jeana Regni-stema.

– Jeździsz po całym świecie na wystawy malarstwa? – wtrąciła się diwa.

– Aż tak to nie, jestem dziennikarzem i specjalizuję się w sztukach plastycznych. Pracuję w „De Arte”. – Zdałem sobie sprawę,

że przecież nie znają tego miesięcznika, jak pewnie żadnego polskiego pisma. – Czasem redakcja wysyła nas na ciekawe wystawy.

– Nasz dziadek znał osobiście Jeana Regnistema – wtrąciła Florence.

– O, to ciekawe! Jaki mały jest świat sztuki... – skomentowałem zaskoczony.

– Podobno Pierre coś tam odziedziczył po dziadku. Twierdzi, że talent, lecz dopiero teraz liczy na prawdziwy spadek.

– Akurat, chyba nie ja... – zachnął się.

– Akurat ty masz długi i wierzytelności – ciągnęła Florence.

– Przestańcie już, nie wypada tak przy gościu – Ines próbowała zażegnać narastający konflikt.

– Gość też tu po pieniądze przyjechał, nieprawdaż? – rzekła Florence.

Wkurza mnie to babsko okrutnie. Zwykła jędza.

– Z ciekawości jestem, sentymentu do wuja, nie spodziewam się pieniędzy.

– Tak każdy mówi – nie dawała za wygraną. Swoją drogą, pasuje do niej takie przezwisko, Jędza.

– Państwo pozwolą, kolację podałam – przerwała tę nieprzyjemną dyskusję gosposia.

Wszyscy przeszli z salonu do jadalni, pojawili się młodzi, poza Yvette jeszcze dwoje dzieci Jędzy oraz jakiś ramol, jak się później okazało – jej mąż.

– Jestem Jakob, mąż Florence – przedstawił się ramol, cuchnęło od niego tanią brandy niczym bimbrem trzeciego sortu. Przy kolacji rozmowa zeszła na tematy obojętne, dużo wypytywano mnie o Polskę, a ja byłem zdziwiony ich niewiedzą, przecież ich ojciec był Polakiem. Przykre te czasy pseudoglobalizacji, gdzie i tak każdy patrzy swego nosa.

Wykorzystując zamieszanie, zamówiłem taksówkę oraz zarezerwowałem hotel. Jak na początek miałem ich dość, szczególnie pani Jędzy. Jutro w południe spotkanie u notariusza.

Tuż po śniadaniu wybrałem się na miejscowy cmentarz, bez trudu odnalazłem grób wuja, a w zasadzie grób rodziny Potache. Dwa skrzyżowane pędzle i nagrobek w kształcie palety – to pomysł Timotéego. Ekstrawagancki nagrobek wyróżniał się spośród innych na całym cmentarzu. Przy nazwisku wuja wyrżnięty w kamieniu był skoczek – figura szachowa, przy Potache – laufer, czyli goniec, a przy Jacqueline – wieża. Jak niewiele trzeba, aby opowiedzieć historię człowieka, a zarazem jakaż to umiejętność zrobić to jednym znakiem i obudzić wyobraźnię... Wygrawerowany goniec – dopiero miałem się przekonać, jak trafnie ktoś dobrał ten symbol.

I już po wszystkim. Testament odczytany. Podniecenie dziedziców prysło, uleciało. Wuj Florian podzielił majątek równo na trzy części, jedynie Florence dołożył dom, nikt nie oponował, widocznie spodziewali się tego. Swojej gosposi wyznaczył dożywotnią rentę z osobnego funduszu, wspomógł lokalną organizację „Ratujmy wszystko”, a kuzynowi z Polski zapisał kolekcję szachów oraz obrazy schowane w piwnicy wraz z pamiątkami. Z Jędzy–Florence spłynęła cała złość i wrogie nastawienie do wszystkich, musiała bardzo potrzebować tego spadku. Tak zrozumiałem, kiedy dzień wcześniej przez chwilę rozmawiałem z Pierre’em. On też nie ukrywał, że liczy na pieniądze, które uniezależnią go od głupiej pracy w redakcji. Chciał być artystą, malarzem, grafikiem, poetą, ale nie było go na to stać. Była żona, dzieci – poza Yvette miał jeszcze syna – wyciągnęliby z niego ostatniego cento-grosza. Przecież Yvette jest tu tylko po to, żeby skontrolować przychód ojca. Jędza odetchnęła pełną piersią, biustonosz utrzymywał pokaźną zawartość na „wysokim poziomie”. Najmniejsze zainteresowanie spadkiem wykazywała Geraldine, gosposia. Ona przez lata pracy u Floriana nieźle zarobiła, poza tym jego śmierć dla niej oznaczała koniec pewnego świata, życia. Będzie musiała opuścić dom, a dopóki żył stary, czuła się potrzebna. Teraz ma pieniądze, sześćdziesiąt pięć lat

i pustkę. Biedna, bogata, niemłoda już kobieta. Diwa z kolei jakby w ogóle nie zauważyła całkiem pokaźnego spadku, ją interesowałem ja, czego wcale nie kryła. Była mnie ciekawa, jak egzotycznego zwierzaka z zoo, którego się widzi z bliska po raz pierwszy w życiu. Mogła dotknąć, pomacać „hydraulika z Polski”. To jej zainteresowanie... Miałbym się stać kolejnym motylem na szpilce w jej bogatej zapewne kolekcji? Jednak jej uroda, figura, młodość... Wszyscy kpią z lalek Barbie, wypiętych pośladków, „karpika”, jednak kiedy sytuacja pozwala z bliska poznać szczegóły tego typu urody, to ślinka cieknie każdemu facetowi. Możliwe, że w łóżku będzie tak samo sztuczna, ale jednak mieć pod sobą „dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt” – to kusi.

– I co zrobisz z tym pięknym darem wuja? – wyrwała mnie z rozmyślań Ines, chyba lekko pokpiwając z mojego spadku.

– Obejrzę – odpowiedziałem nader lakonicznie. Wuj wiedział, że znam się na sztuce, kiczów by mi nie zostawił. Miałem przynajmniej taką nadzieję.

– No, może się okazać, że to ty będziesz ten wygrany, miał przecież kolekcję po dziadku, czyli swoim teściu, a tamten handlował obrazami. – Chyba sama w sobie obudziła ciekawość i... nutę zazdrości. A nuż widelec ma rację, może w piwnicy jest kolekcjonerska bomba? Potache znał przecież Jeana Rognistema, obracał się w kręgu największych: Picasso, Braque, Duchamp. Wystarczyłby jeden taki rodzynek. Ines rozpałała nie tylko swoją wyobraźnię. Już przebierałem nóżkami, by wrócić do Les Grandes Châtelaines i zajrzeć do piwnicznych lochów.

Do posiadłości pojechałem razem z Pierrem, pozostali zmieścili się w dużym dodge’u Florence.

– Jacek, przykro mi, ale dostałem ważny telefon z redakcji, muszę wracać, jeszcze nie czas, by rzucić wszystko i się uniezależnić. Daj mi swoje namiary – Pierre z nieukrywanym żalem żegnał się ze mną. – Chciałbym odwiedzić cię w Polsce, zobaczyć kraj mojego ojca.

Podaliśmy mu swoją wizytówkę, na odwrocie drugiej zapisałem jego telefon i e-mail. Uściskaliśmy się nad wyraz serdecznie. Wraz z Yvette wsiedli do auta i odjechali. Jedyne sympatyczny i serdeczny mi człowiek w tym gronie pojechał... Poczuję się osamotniony i trochę jak owca wśród stada wilków.

– Jacku, gospoia dała mi klucze do piwnicy, zresztą bardzo niechętnie – uśmiechnęła się diwa. Zęby też miała pięknie zrobione, co zrozumiałe u śpiewaczki operowej, która często szeroko otwiera usta.

– Chodźmy, poproszę też Florence, niech to będzie oficjalne otwarcie. – Na dół zeszliśmy w trójkę. Zapaliłem światło. Piwnica, jak przystało na francuski dom, była duża, z łukami w sklepieniu, chłodna. Wzdłuż ścian stały wiekowe regały, a na nich zakurzone butelki wina. Widać, że większość leży tak od lat, tylko jeden regał przy drzwiach miał nowe, czyste flaszki – wino na potrzeby bieżące. Poza częścią z alkoholem panował zwykły, tradycyjny pierdolnik; jakieś zapomniane sprzęty, które dawno wyszły z użytku, trochę drobnicy, może i ciekawej, bo w większości trącej myszką, i to kilkudziesięcioletnią. W głębi głównego pomieszczenia wypatrzyłem solidne dębowe drzwi z okuciami i zamkiem jak do sejfu oraz kłódką wielką niczym talerz.

– A do tych drzwi masz klucze? – spytał Ines.

– Nie.

Zostawiłem panie w piwnicy i pobiegłem do gospoii:

– Geraldine, pozwolisz do piwnicy? Tam są jeszcze jedne drzwi. Ma pani klucze?

– Pan Florian mówił, że tam nie wolno wchodzić pod żadnym pozorem. Żadnych innych kluczy nie mam. Pan zrobił depozyt w banku, chyba tam są. Razem wtedy byliśmy w Avallon, stąd wiem.

– A hasło do skrytki?

– Pan formalności załatwiał sam.

**Koniec Wersji Demonstracyjnej**